



Zdzisław Daraż urodził się w Oleszycach w powiecie lubaczowskim w 1932 roku. Mieszkał tu w trudnych latach 1939-1952, gdy przez ten skrawek polskiej ziemi przewinęła się cała zawierucha wojenna i powojenne walki z UPA. Był świadkiem okropności, jakich doświadczyli wszyscy jej mieszkańcy. Ukończył UJ w Krakowie, był nauczycielem w LO i komendantem Hufca ZHP w Lubaczowie oraz komendantem rzeszowskiej Chorągwi ZHP.

Strzelał bramki dla lubaczowskich drużyn piłki nożnej KS „Pogoń” i „Włókniarz”.

Pełnił funkcję dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie oraz redaktora naczelnego czasopism „Profile”, „Informatorium” i „Echa Rzeszowa”. Wybrano go radnym Powiatowej Rady w Lubaczowie I przez 4 kadencje radnym Rady Miasta w Rzeszowie. Od 20 lat jest przewodniczącym Towarzystwa Przyjaciół Rzeszowa. Jest autorem książek „W moich oczach” „Absolwenci rocznik 50” i „Ogniska za Sanem”.

MBP Cieszanów
Zawierucha nad Sanem



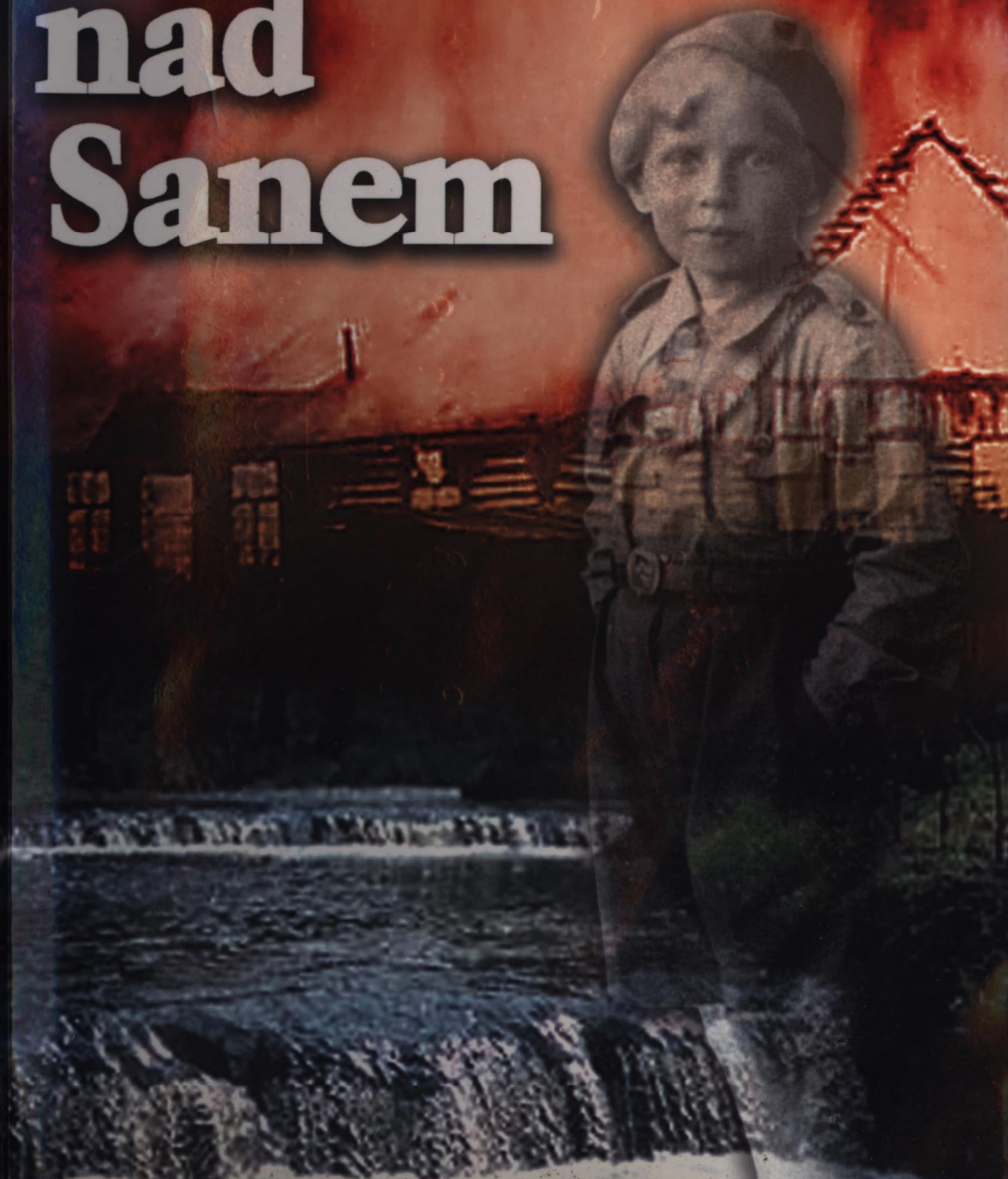
0000023751

Zdzisław Daraż

Zawierucha nad Sanem

Zdzisław Daraż

Zawierucha nad Sanem



triotycznej. Wspomnienia ukazują bogaty wizerunek samego autora. Praca jest autentycznym pamiętnikiem, napisanym z perspektywy dziesiątków lat, często bez osłonek ujawniającym motywy swego działania.

Tekst Z. Daraża dostarcza wiele Interesującego materiału do zagadnienia mniejszości etnicznych (Ukraińcy, Żydzi) oraz ich powikłanych losów. O trudnych, a nawet bolesnych sprawach z zakresu stosunków polsko-ukraińskich i polsko-żydowskich, autor pisze bez emocji, obiektywnie, tak jak je zapamiętał.

Znajdujemy w pracy Z. Daraża liczne, często bardzo dokładne, na wielu stronicach przedstawione tragiczne wydarzenia okresu 1944-1947. Autor stara się zrozumieć cały kontekst dramatu, przedstawia racje wszystkich stron bratobójczego konfliktu, pisze o nim taktownie, nie potępiając nikogo. Z drugiej wszakże strony nie unika ocen moralnych - zło nazywa złem, zbrodnię nazywa zbrodnią. Często zamieszcza wiadomości z frontów wojny światowej, pisze o wypadkach europejskich, które niekiedy odzywały się szerokim echem w małym Lubaczowie, Horyńcu i innych miejscowościach, nie skąpi bystrych uwag, a tak charakterystycznych dla powojennych lat, np. o działalności Urzędu Bezpieczeństwa, konspiracji niepodległościowej, tworzenie zrębów nowej władzy.

Wspomnienia Z. Daraża dają dużo materiału do poznania nastrojów lokalnej społeczności, pozwalają na orientację w psychice ludzi, często wystawionych na trudną próbę w obliczu trudnych spraw. Jak już wspomniałem, zasadnicza wartość pracy „Zawierucha nad Sanem” polega na jej autentyczności. Pamiętnik dostarcza sporo materiału do poznania postaw społecznych wobec gwałtownie zmieniającej się rzeczywistości politycznej, generalnie rzecz ujmując przychylnych i ufnych w pierwszym okresie powojennym, a sceptycznych po ujawnieniu wynaturzeń i nadużyć władzy.

Obszerne fragmenty wspomnień autor poświęca anonimowym mieszkańcom Lubaczowa, Horyńca, Oleszyc, Cieszanowa, Dubiecka i wielu innych miejscowości. Pisze o ich odwadze, niewyczerpanej sile witalnej, namiętej pasji do zabawy i obrony swoich racji. Jest to problem niezwykle ciekawy, a z poznawczego – punktu widzenia – istotny.

W omawianej książce zostały zachowane wewnętrzne proporcje rozważań między indywidualnymi losami, a dziejami zbiorowości. Swoje interesujące wspomnienia autor kończy znamienym dla niego wyznaniem: „Wszyscy się cieszyli, że Lubaczów jest w Polsce i zwycięża. To było coś więcej jak zwykłe kibicowanie”

Prof. zw. dr hab. Andrzej Andrusiewicz
Uniwersytet Rzeszowski
Wydział Socjologiczno - Historyczny

SŁONECZNE LATA

Pierwszy, piękny wschód słońca zobaczyłem w Horyńcu. Wkrótce jednak miało się okazać, że trwale związany ze wschodnim pograniczem Polski – urodzeniem, więzami rodzinnymi i miłością do tego pogranicza – byłem bezsilny wobec nadciągających huraganów historycznych wydarzeń, dokonywających się na tym skrawku polskiej ziemi, po prawej stronie Sanu. Nie byłem żadnym bohaterem i nie miałem w rękę karabinu, ale uczestniczyłem w tych wydarzeniach jako mały chłopiec i małoletni cywil, którego te wydarzenia dotyczyły najbardziej. Byłem niemyym świadkiem wydarzeń, na które nie miałem żadnego wpływu, jak większość ludności na ziemi lubaczowskiej.

Dla mnie Horyniec to była nie tylko maleńka kropka na mapie Polski, lecz miejsce, w którym przeżyłem swoje najlepsze słoneczne lata. W tym Horyńcu, jaki zapamiętałem, zawsze było lato i stałe świeciło słońce. To jedno z najbardziej znanych uzdrowisk w województwie podkarpackim, leży na Płaskowyżu Tarnogrodzkim, w obrębie Roztocza, na granicy z Kotliną Sandomierską. Ów Płaskowyż, położony pomiędzy dolinami Sanu, Tanwi i Szkła, posiada osobliwe cechy klimatyczne i środowiskowe. Występujące w okolicach Horyńca doskonałe źródła wód siarczanych, pokłady znakomitej borowiny i bogate zasoby słodkiej wody źródlanej spowodowały, że od dawna horynieckie uzdrowisko stało się cenionym ośrodkiem sanatoryjno-leczniczym, z klimatem o cechach kontynentalnych (mroźna zima, ciepłe lato), co sprawiło, że sezon trwał w nim cały rok.

Pierwsza pisana wzmianka o Horyńcu pochodzi z 1444 roku, kiedy to książę Władysław Mazowiecki nadał tę miejscowość Piotrowi Pieczykurowi. Kolejno tą miejscowością władali: Gorelowscy, Telefusowie i Stadniccy, a następnie Ponińscy i Karłowscy. Okres przynależności Horyńca do Ponińskich, to okres największej jego świetności. W pałacu swoją siedzibę miała słynna biblioteka Ponińskich, której zbiory przed 1939 rokiem zostały przekazane do Biblioteki Narodowej i niestety spłonęły w powstaniu warszawskim, zaś książę Leander Poniński zbudował tu jedyny w Polsce wolno stojący, uzdrowiskowy budynek teatru. To tu powstała legenda, że jeśli umrze ostatni z rodu Ponińskich (którzy splamili się podpisaniem traktatu rozbio-



Teatr Ponińskich w Horyńcu – wygląd obecny.

rowego), to Polska odzyska niepodległość i rzeczywiście, gdy w 1918 roku umarł ostatni z tego rodu, Kalikst Poniński, nasz kraj opuścili zaborcy.

W Horyńcu dowiedziałem się, że jestem Polakiem. Stało się to podczas zabawy na podwórzu. Do płotu podszedł wówczas ukraiński chłopak od sąsiadów i zaproponował mi: Podejdz, to dostaniesz kwiatek i przez szparę między sztachetami poda mi pokrzywę. Kiedy zacząłem płakać z bólu, mama mi powiedziała, że to jest Ukrainiec, a oni Ukraińcy nienawidzą Polaków. Nigdy nic od niego nie bierz! I od tego dnia poczęła uczyć mnie katechizmu Polaka: „Kto ty jesteś, Polak mały.”

Do Horyńca przyjeżdżali wtedy kuracjusze z całej Polski, w zdroju grała orkiestra, a w teatrze Ponińskich wystawiano spektakle i wyświetlano filmy. Czasem mnie na nie zabierano – przeżywałem je ogromnie. Jeździłem też z kuracjuszami na wycieczki do Niemirowa, Żółkwi i Rawy Ruskiej, latem przesiadywałem całymi dniami nad rzeczką, a zimą wybierałem się na saneczki – słowem był to raj.

Towarzyszką moich dziecięcych zabaw była mała Żydóweczka – Pepcia Konig, którą często odwiedzałem w jej bardzo dużym domu w sąsiedztwie.



Na wycieczkę do Niemirowa wyjeżdżało się w latach 30. oczywiście furmanką, a nie autokarem.

Prawie wszystkie horynieckie sklepy były w tych latach w rękach żydowskich. Znałem je dobrze, ponieważ moja mama odwiedzała je wraz ze mną, a najbardziej lubiłem lody u Scherera.

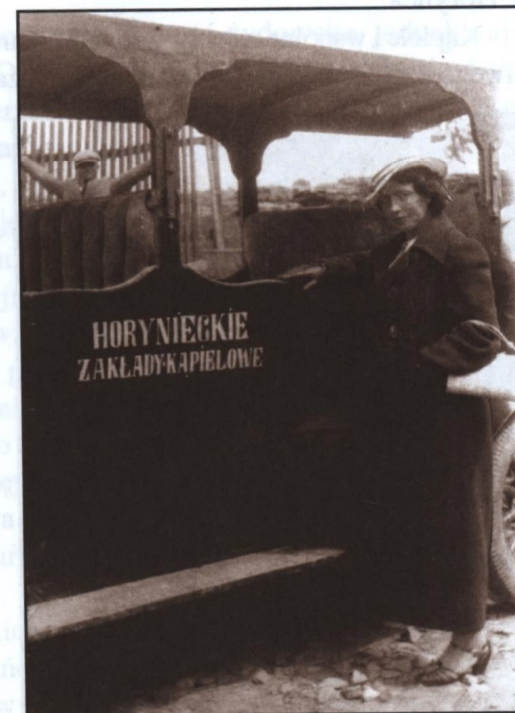
Z dalszych wycieczek pamiętam Dubiecko i szczególnie Lwów. Odwiedziłem w nim, wraz z rodzicami, rotundę z Panorama Raclawicką, Szkołę Kadetów, Wysoki Zamek i przepiękny Stryjski Park. Dodać muszę, że Lwów oglądałem w maju, co dodawało mu szczególnego uroku. Ojciec pracował we Lwowie, był naszym przewodnikiem. Miasto miało stołeczny charakter, mnie wydawało się bardzo czyste, zaś szczególne wrażenie zrobiły na mnie dworzec kolejowy i jego przeszklona hala nad peronami.

Przed 1939 r. wszystkie pensjonaty w Horyńcu były drewniane, z podcieniami i balkonami, Park Zdrojowy był wyposażony w altany i ławki z brzozy, co tworzyło w nim niepowtarzalną atmosferę. Ze stacji do pensjonatów dowoził kuracjuszy konny tramwaj na gumowych kołach.

Do największych pensjonatów należały „Aleksandrówka” i ośrodek przyrodolecznicy tzw. Łazienki, który dysponował 12 wannami i umieszczony był w pobliżu źródła siarkowego. Na środku Parku Zdrojowego stała drewniana budka, a w niej zainstalowany był kran z wodą siarkową o zapachu zgniłych jaj – to była zdrojowa pijalnia. Tuż przed wojną właściciel Horyńca posadził w parku, sprowadzone aż z Kanady, klony – stały się one wielką atrakcją. Urząd Gminy mieścił się obok stacji kolejowej, zaś Poczta i Policja obok cerkwi.

Moja mama poświęcała mi bardzo dużo uwagi. Miała ponadto cztery siostry i jednego brata, którzy też się mną zajmowali. W sumie wychowywałem się wśród dorosłych, dlatego, gdy minął okres moich zabaw z rówieśnikami, przed pójściem do szkoły już potrafiłem czytać i pisać.

Ponieważ mama była osobą bardzo pobożną, musiałem chodzić z nią często do kościoła, położonego w odległości około 3 km. Tylko czasem, wyjątkowo, uczestniczyliśmy we mszy w kaplicy pałacu Ponińskich, do



Ciocia Marysia – nauczycielka w Równem na Wołyniu, zawsze ze stacji kolejowej w Horyńcu przyjeżdżała do nas tramwajem konnym – tak nazywano pojazd na ogumionych kołach.

której było bardzo blisko, ale jej właściciele musieli na taką mszę specjalnie nas zaprosić. Doszło którejś niedzieli nawet do tego, że kiedy naczelnik stacji PKP wszedł do tej kaplicy i usiadł w ławce obok dziedzica, ten go pogardliwie w niej wyprosił.

Z wielką powagą przeżywałem, wraz z domownikami, śmierć marszałka Józefa Piłsudskiego.

Mama była córką kolejarza, mój ojciec był podkomendnym marszałka, w domu panował więc Jego kult. Mnie też sposobiono do Szkoły Kadetów we Lwowie. Chodziłem po Horyńcu ubrany w mundurek harcerski, pomimo że harcerzem jeszcze nie byłem, kupowano mi zabawki w postaci broni (czaka, szabla, werble, karabinki itp.), zabierano mnie na organizowane apele poległych w ostatnich wojnach: polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej. Odbываły się na cmentarzu, gdzie stanął przepiękny pomnik żołnierza polskiego, wyrzeźbiony przez ukraińskiego artystę Kuźniewicza. Ojciec opowiadał, że kiedy mistrz przystąpił do rzeźbienia jego sznurowadeł, swojego pomocnika wysłał po piwo, aby ten nie widział, jak to się robi. Właśnie obok tego pomnika płonęło zawsze ognisko i odczytywany był apel poległych. Towarzyszyła temu zwykle drużyna Strzelców z Horyńca.

Kąpiele i wspólne zabawy z rówieśnikami dopełniały obraz mojego szczęśliwego dzieciństwa. Przewodnikiem tych zabaw byli: trochę starszy ode mnie,

wujek Marian Cichocki, bracia Burkowie i Władek Wróblewski.

Niestety, nie przywiązywałem wówczas większej wagi do pieniędzy. Kiedy otrzymałem od kolegi ojca prezent w postaci 5 zł, poukładałem pięćdziesięciogroszówki jedna obok drugiej na balkonie przy sklepie i poszedłem spokojnie do domu, a była to wówczas duża kwota. I to lekceważenie pieniędzy zostało mi na całe życie, bo pieniądze – jak mawiał mój ojciec – to rzecz nabyta...

Pod horynieckim pomnikiem żołnierza polskiego, wyrzeźbionym przez artystę ukraińskiego Grzegorza Kuźniewicza, odbywały się polskie uroczystości patriotyczne.



Na karnawałowych balach w Horyńcu bawili się wspólnie Polacy, Żydzi i Ukraińcy.

Horyniec był gminą wielokulturową. Żyli w nim w zgodzie Żydzi, Polacy i Ukraińcy.

Wyróżniającą się społecznością była ludność żydowska, jednak najczęściej żyło tu grekokatolików. Organizacje ukraińskie cieszyły się dużą swobodą w działalności, docierała do Horyńca prasa ukraińska, zaś Ukraińcy manifestowali swój nacjonalizm poprzez chodzenie na swoje imprezy w tzw. wyszywankach, wieszanie w domach portretów Szewczenki itp. W szkole nauczano języka ruskiego, Ukraińcy wybierali też swoich przedstawicieli do Sejmu RP. Usłyszałem nawet kiedyś bardzo zabawną historię z pracy komisji wyborczej w Horyńcu, w skład której wchodził słynący z robienia kawałów pan Józio. W jej składzie zasiadał również horyniecki pop. Kiedy przyszło do obliczania głosów, okazało się, że na mniejszość ukraińską nie oddano ani jednego głosu. Zdenerwowało to popa, który zapytał – no dobrze, ale gdzie jest mój głos? Wtedy okazało się, że pan Józio udostępnił mu głosy z innej urny, tzw. lewej, a nie z urzędowej. Kiedy sprawa się wyjaśniła, uproszono popa, aby nie zgłaszał incydentu do prokuratury, bo mogła być z tego tęga chryja. Na szczęście do niej nie doszło.

W czasie spotkań towarzyskich opowiadano dowcipy, których bohaterami byli pop lub „durny Iwańcio” Najczęściej katolicy naśmiewali się z obrządków grekokatolickich w cerkwiach. W jednej z nich pop miał się zwrócić do wiernych: – Ludy ne srajte, bo smrit kadyło peremhajet. Na to rozległ się głos kogoś z obecnych w cerkwi: –Sraj Iwane, sraj Stefane, bo cerkow je nasza, a ne popa.



W Horyńcu polskie panie nosiły berety, a ukraińskie koszule – wyszywanki.

Opowiadano też, że Iwańcio zobaczył kiedyś wysoko na drzewie barć pszczelą. Westchnął do Boga i powiedział: Jak wylizu, to wosk bude na chwałę Bożu (świece), med dla chwały Bożej (komunia), a dla mene tokoj kit. Kiedy znalazł się na drzewie i usiadł na konarze i stwierdził – To jednak nie tak będzie: – wosk pojde na horiłku, med do horiłki, a Tobi toj kit. Wtedy gałąź się złamała, Iwancio spadł i z przekąsem rzekł – Oj Hospody, to Ty się na żartach nie znasz?

Ukraińcy budowali swoją siłę ekonomiczną poprzez spółdzielczą organizację „Masło-sojuz”. Dawała ona kredyty m.in. właśnie na tworzenie w terenie sieci sklepów. W Horyńcu, gdy umarł pan Stolle, jego żona sprzedała dom i sklepowe resztki Ukraińcowi Włodomyrowi Menczakowi, który za te kredyty stworzył placówkę sklepową z podobnymi towarami, jakimi handlował pan Stolle. Okoliczni Żydzi, którzy mieli w sąsiedztwie sklepiki, jak np. Lampel, Reichler, Scherer, Szprung, Reiner i inni, obniżyli wówczas ceny towarów, aby ludzie szli do nich kupować, a nie do Menczaka. Nie mógł on sobie pozwolić na podobną obniżkę cen, omal nie zbankrutował i dopiero ksiądz greckokatolicki Steczyszyn podczas kazania w cerkwi zaapelował do parafian, aby nie pozwolili zginać swojemu ziolkowi i kupowali u pana Menczaka.

Tym sposobem ukraiński sklep się utrzymał. Najpoważniejszym momentem do zmanifestowania swojej tożsamości narodowej okazał się letni turniej piłki nożnej, zorganizowany jako impreza dla kuracjuszy. W turnieju udział wzięły: Polonia Przemyśl, Ukraina Lwów i Hasmonea (żydowska). Pop Steczyszyn przekonany, że zwycięży Ukraina, nakazał dzieciom ukraińskim przynieść na stadion kwiatki. Okazało się, że turniej wygrała drużyna polska, a kwiatki dzieci wrzuciły do rzeczki. Chyba wtedy po raz pierwszy padło w Horyńcu hasło

nacjonalistów ukraińskich „Ukraina po Rzeszów” i w ten sposób Polacy dowiedzieli się, jakie roszczenia terytorialne wysuwają zwolennicy samostijnej Ukrainy, nazywani „samostijnikami”

Wyróżniającą się prestiżowo i materialnie była grupa żydowska, która ulokowała się w handlu i usługach. Na tamte czasy byli to ludzie zamożni. Również kuracjuszami byli przeważnie Żydzi, którzy licznie korzystali z dobrodziejstw horynieckich wód i borowin.

Tuż przed wojną działalność narodowców polskich wywołała, również na terenie Horyńca nastroje antysemityczne. Podsycaty je szczególnie działalność księdza Trzeciaka i artykuły zamieszczane w „Rycerzu Niepokalanej”. Aby przeciwdziałać ekscesom antyżydowskim, kiedy arcybiskup lwowski przyjechał do Horyńca na bierzmowanie, rabini wyszli z bożnicy z tablicami mojżeszowymi, prosili, aby biskup ich pobłogosławił, co ten uczynił i ten fakt znacznie wygasił wystąpienia przeciw Żydom.

W Horyńcu było kilkanaście żydowskich sklepów z tak zwanymi towarami mieszanymi. W prymitywnych pomieszczeniach sprzedawano tam naftę do lamp oświetleniowych, papierosy, tytoń, chleb, bułki, cukierki, zeszyty, różne wyroby żelazne (np.: gwoździe i zawiasy) oraz materiały włókiennicze. Naprzeciw naszego domu był jedyny nieżydowski sklep. Jego właścicielem był Karol Stolle, który oprócz towarów, podobnych jak w sklepach żydowskich, sprzedawał też słoninę, kielbasy, skwarki czy smalec. Żydom religia zabraniała nie tylko spożywania wieprzowiny, ale nawet jakiegokolwiek kontaktu z mięsem z trzody chlewnej.

Następny polski sklep założył pan Szymeczko, zwany „Hawrysem”, a po nim pan Wojnar, który swój sklep miał w suterrenach willi „Halina”, obok szkoły. Ten ostatni prowadził antyżydowską propagandę, popieraną przez wszystkie sklepy katolickie. Gdy kupowaliśmy u pana Wojnara np. ołówek, obsadkę do stalówki itp. artykuły, pan Wojnar zawsze dodawał do nich bezpłatnie bibułę do wysuszania atramentu, a na każdej było antyżydowskie hasło, np. „Ręka rękę myje, kto kupuje u Żyda, myje ręce czyjeś” lub rysunek – karykaturę Żyda z dużą ręką, pokrytą krostami i napis „parch”. Antagonizmy polsko-żydowskie w różnej formie nasiliły się w latach 1935–1939 i trafiały na podatny grunt powszechnego bezrobocia, tłumaczonego tym, że Żydzi opanowali handel i gospodarkę.



Horyniec odwiedzał często, wraz ze swoją żoną, sławny rabin z Bełży.

Przeciętny rolnik, mieszkający w zapadłej wiosce, często oszukiwany nierzadko w handlu głównie przez żydowskich kupców, podatny był na różnego rodzaju antyżydowską propagandę i wierzył ludziom, którzy ją rozpowszechniali.

Według pana Haliniaka, Jankiel Szprung posiadał w Horyńcu olejarnię, a jego brat Herszko był szewcem. Obydwaj mieszkali w przysiółku Ruda, nieopodal Czubryta i Sienkiewicza. Jankiel miał dwie córki – Feigę i Mirkę – oraz dwóch synów bliźniaków – Herszka i Motia, którzy mieli po około 20 lat. Josek Szprung który mieszkał przy obecnej ulicy Zdrojowej, naprzeciw gospodarstwa Grenia, miał dwójkę małych dzieci. Berko Szprung, który mieszkał obok niego, miał kilkoro małych dzieci. Jego dom był parterowy i drewniany. Inny Żyd – Berko, zajmował się skupowaniem cieląt i handlował cielęcina wśród ludności żydowskiej. Bezdzienny Siojma Lempel, który był piekarzem, miał murowany dom, kryty dachówką, w którym mieściła się piekarnia. Zaopatrywał on w pieczywo prawie wszystkie sklepy w Horyńcu. Jasek Scherer miał dwóch synów. Scherer mieszkał w drewnianym, parterowym domu, krytym blachą, przy zbiegu drogi od Grenia do ul. Zdrojowej. Prowadził sprzedaż alkoholi i papierosów, miał też bufet z alkoholem w willi „Lwowianka”. Abraham Baumel miał dwóch synów: – Joska (17 lat) i Mojsia (20 lat) oraz dwie córki: – Feigę (ponad 20 lat) i Surcię (lat 12), Baumel zajmował się pośrednictwem handlowym, przy zaopatrywaniu śląskich kopalń węgla w drewniane stemple. Szymon Szprung miał dwóch synów: Herszka (lat 17) i Joska (10 lat). Posiadał dom mieszkalny po północnej stronie obecnej ulicy Zdrojowej, naprzeciw zabudowań pana Ważnego. Był to parterowy budynek, kryty blachą, w którym był sklep. Obok znajdowała się parterowa willa, wynajmowana dla kuracjuszy. Samuel Reinbach i jego żona Hancia mieli czwórkę dzieci: – Herszka (lat 18), Mirka (lat 15), Jabrumka (lat 14) i Lejzora (lat 12). Reinbach był rzeźbiarzem i wykonywał kamienne nagrobki dla Żydów. Posiadał duży, parterowy, drewniany dom, na miejscu którego wybudował dom pan Burda. Mozes Lempel z żoną Rafką mieli 4 dzieci: Frydę (lat 18), Motia (lat 15), Sruła (lat 12), Blimkę (lat 8). Wszyscy mieszkali w parterowym, drewnianym domu, pokrytym blachą. Mozes wypiekał bułki i rogaliki, które roznosił po wsiach, zarabiając w ten sposób na życie. Gołda Salzberg miała dwóch synów w podeszłym wieku. Jej mąż rzadko przebywał w Horyńcu, bo prowadził gdzieś w Polsce jakieś interesy. Około 1937 roku sprzedali swój dom wraz z parcelą, a kupił to pan Argasiński z Lubaczowa. Budynek ten, po przebudowie, stoi do chwili obecnej. Berko Reiner i jego żona Chana mieli trzech dorosłych synów: Elka, Hinricha i Motię. Najstarszy Elko był żonaty i miał kilkoro małych dzieci. Reiznerowie posiadali drewniany, parterowy dom, kryty blachą, w którym był sklep, i obok dużą, drewnianą, parterową willę na wynajem dla kuracjuszy. Joško Lempel – starszy Żyd, mieszkał obok Reinerów. Wraz z nim mieszkała stara Żydówka – jego siostra. Joško, chory na oczy, mieszkał w drewnianym, krytym słomą domu. Za nim była szopa, kryta dachówką w której miał olejarnię.

Herszko Werker z żoną i córką (ok. 20 lat) mieli duży, murowany, piętrowy dom, gdzie znajdowały się pokoje do wynajęcia dla kuracjuszy. Za tym domem znajdował się mniejszy, też murowany dom, w którym mieszkali. Obok było małe podwórze i stajenka, w której trzymał konia. Był mu potrzebny, bo Herszko miał w Radrużu ziemię, którą uprawiał. W jego domu za czasów okupacji sowieckiej znajdowała się siedziba NKWD i Milicji. Menes Lewental i jego żona Frejga mieli troje dzieci: Dworkę (w wieku ok. 20 lat), Pełskę (lat 18) i Mojsia (ponad 20 lat). Przy obecnej ulicy Krótkiej zajmowali parterowy dom mieszkalny, kryty blachą. Menes był nauczycielem języka hebrajskiego i w bożnicy uczył żydowskich chłopców pisać po hebrajsku. Rozental miał syna w wieku 15 lat, który uczęszczał gdzieś poza Horyńcem do szkoły wyznaniowej, Mieszkał w drewnianym, krytym strzechą domu – stanowiącym własności Edki Weinberger, która miała koło tej posesji ok. 2 ha ziemi uprawnej. Rozental zajmował się rytualnym, koszernym zarzynaniem drobiu i cieląt na potrzeby horynieckich Żydów. Przed każdym szabasem i świętem żydowskim u rzeźnika Rozentala ustawiały się kolejki z kogutami, kurami i gęsiami. Ozjasz Kenig z żoną i dwiema córkami: Frydą (lat 17) i Pepcią (lat 14), mieszkali przy obecnej ulicy Zdrowej, gdzie mieli ładny, drewniany dom. Ozjasz był chyba najbogatszym Żydem w Horyńcu. Zajmował się handlem drewnem i zaopatrywał kopalnie w drewniane stemple.

W Horyńcu mieszkali też Niemcy – w kolonii niemieckiej Fecendorf. Jeden z nich – Bil – uczył dzieci, inny – Drobik – był leśniczym.

Wszystkie te narodowości żyły z sobą w zgodzie, wszyscy korzystali z opieki państwa polskiego, którego mieli być lojalnymi obywatelami.

Latem 1939 r. do Horyńca przyjechało dużo kuracjuszy z Poznania i ze Śląska. Mama odstąpiła jeden pokój p. Mierniczakowi z poznańskiego kuratorium i jego syn Oleś stał się moim najlepszym kolegą. Razem bawiliśmy się w wojsko i na czele naszych wojsk wkraczaliśmy do Berlina. Lubiliśmy też oglądać w kinie kroniki filmowe, w których nasi wspaniali żołnierze budzili nasz podziw, zaś w zachwyty wprawiały nas też polskie samoloty czołgi i armaty oraz wspaniała nasza kawaleria.



Plakaty, które pojawiły się tuż przed wybuchem II wojny światowej, buńczucznie zapowiadały, że jesteśmy gotowi do podjęcia niemieckiej ataku



Marian Cichocki opowiadał nam o tym, jak harcerze przygotowują się do wojny z Niemcami.

W domach mówiło się, że odniesiemy druzgocące zwycięstwo nad Niemcami. Paradowałem po Horyńcu w harcerskim mundurku i wysłuchiwałem relacji mojego wujka Mariana – przeważnie przesadzonych, jak ZHP przygotowuje się do wojny.

W domu sytuacja zmieniała się z tygodnia na tydzień. Ojciec z mamą też zaczęli poważnie rozmawiać na temat wojny, bo wiadomo było, że ojciec na wojnę pójdzie w pierwszej kolejności. A co będzie z nami, nikt nie potrafił odpowiedzieć. Atmosfera pod koniec lata stawała się coraz bardziej nerwowa, wszyscy czekali na dalszy bieg wydarzeń.

Ojciec nie wierzył, że wojna wybuchnie, uważał, że Hitler przestraszy się potężnej Francji. Pomimo takiej postawy nakazał wycinać papierowe paski – tak jak – polecano i przyklejać je na szybach, aby dać przykład innym mieszkańcom Horyńca. Paski te miały chronić szyby, aby nie wypadły podczas bombardowania. Przygotowywaliśmy też chusteczki do nosa, które namoczone, miały obronić nas przed atakiem gazowym. Często do naszego domu przychodzili Żydzi i wypytywali, co słychać. Oni byli bardzo jeszcze bardziej przerażeni od nas, bo wszędzie się mówiło, że Hitler jest wrogiem Żydostwa.



Moment podpisywania paktu Molotow – Ribbentrop w sierpniu 1939 r. w Moskwie.

WRZESIEŃ 1939

Wybuchu wojny dowiedziałem się z komunikatów radiowych. Rano, jak zwykle, 1 września poszliśmy z Olesiem napić się wody zdrojowej. Idąc podśpiewywaliśmy sobie:

*Nikt nam nie zrobi nic,
Bo z nami Śmigły-Rydz....*

Nagle zobaczyliśmy kuracjuszy, gromadzących się przy głośnikach radiowych. Usłyszeliśmy groźne słowo – wojna... Pobiegliśmy do domu, aby poinformować mamę, ale Ona już wiedziała. Około południa ujrzeliśmy nadlatujące samoloty. Pokazywaliśmy je sobie rękoma, krzycząc: – To nasze! To nasze!

Ale, jak się okazało, były to samoloty niemieckie, które wracały z wyprawy bombowej znad Lwowa. Pogoda była wspaniała, słoneczna, bezchmurna i bezwietrzna. Pobiegliśmy na stację kolejową, przez którą wciąż jechały transporty wojskowe w kierunku zachodnim. Żołnierze, bojowo nastawieni i wspaniale umundurowani, w butach tzw. saperkach śpiewali i machali do nas przyjaźnie rękami. W polskich mundurach wojskowych jechali też Ukraińcy, których 150 tys. walczyło w 1939 r. w naszym wojsku. Kuracjusze tymczasem wciąż jeszcze komentowali wystąpienie ministra spraw zagranicznych – Józefa Becka, który w Sejmie stwierdził, że: „najważniejszym w życiu narodów jest honor”.

Akceptacja dla tych słów była powszechna. W naszym domu odbyło się któregoś dnia spotkanie sąsiadów – Polaków, podczas którego z uznaniem wyrażano się o ministrze.

Często z moim kolegą Olesiem maszerowaliśmy rano do zdrojowej pijalni.

